



9



EPIPSYCHIDJON

163

PERSY BYSSHE SHELLEY

EPIPSYCHIDJON

PRZEŁOŻYŁ

JAN KASPROWICZ

820-1



WARSZAWA

INSTYTUT WYDAWNICZY „BIBLIOTEKA POLSKA“



BIBLIOTEKA GIMNAZJUM
ul. kr. Zygmunta Augusta
Szafa Półka
M Dzieł
1969

Wiersze poświęcone szlachetnej, nie szczęśliwej - Emilji Viviani, zamkniętej obecnie w klasztorze św. Anny w Pizie.

L'anima amante si slancia fuori del creato, e si crea nel infinito un Mondo tutto per essa, diverso assai da questo oscuro e pauroso baratro. Własne jej słowa.

Niewielu pewno, o moja ty pieśni,
Przyjmie dziś ciebie i myśl tę zrozumie,
Którą w swej głębi chowa słów twych fala;
Jeśli przypadkiem zobaczysz się w tłumie -
Tak się wydarza - ludzi owej cieśni,
Co treści twojej pojąć nie pozwala,
Niech się twe słowo w pociechę skryształą
Dla niej; im powiedz: jestem nazbyt trudną,
Wy nazbyt płytkcy - lecz mówcie, żem cudną!

UWAGA: Piewca następnych wierszy umarł we Florencji, gotując się do podróży na jedną z najdzikszych wysp sporadycznych, którą sobie był kupił, ażeby zamieszkać na niej wśród ruin starego gmachu; tam to pragnął urzeczywistnić plan życia, co, stosowne może dla szczęśliwszego i lepszego świata, którego obecnie jest mieszkańcem, niemożliwym staje się na tym padole. Dziwne było jego życie, mniej dla romantycznych przygód, odróżniających to życie od innych, aniżeli z powodu idealnego zabarwienia, które mu nadawał jego charakter i sposób odczuwania. Poemat niniejszy, podobnie jak Dantego „Vita Nuova”, będzie dostatecznie zrozumiałym dla pewnej warstwy

czytelników bez historycznego wyjaśnienia okoliczności, do których się odnosi; dla pewnej zaś innej klasy pozostanie zawsze niepojętym — właśnie dla braku odpowiedniego organu, potrzebnego do zrozumienia idei, którymi się zajmuje. Nieinaczej — „gran vergogna sarebbe a colui che rimasse cosa sotto veste di figura, o di colore rettorico: e domandato non sapesse denudare le sue parole da cotal veste, in guisa che avessero verace intendimento.“

Poemat niniejszy, zdaje się, miał być przeznaczony przez autora na dedykację do jakiegoś dłuższego. Stanca, położona na czele, jest prawie dosłownem tłumaczeniem sławnej canzony Dantego:

Voi ch'intendendo, il terzo ciel movete etc.

Zrozumiałe zastosowanie ostatnich jej wierszy do własnego utworu wywoła uśmiech na koszt mego nieszczęśliwego przyjaciela: oby to był uśmiech nie pogardy, lecz współczucia!

Shelley.

O duchu, ducha-sieroty siostrzyco!
Na jego imię lży ci w oczach świecą —
Oto dziś w serca mego kościele
W cześć ci powiędle składam wspomnień ziele.

* * *

Ptaszę więziona, co taką w swej cieśni
Oddychasz nutą, że na głos tej pieśni
Zmiękłyby serca, co cię w więzy skuły,
Gdyby dźwięk jaki gdykolwiek uczuły —
Hymn ten niech będzie twą różą: jej kwiecie
Wyblakłe wprawdzie, słowiku, me dziecko,
Lecz jeszcze miękkie, pełne wonnej siły,
I nie ma kolców, by ci w pierś się wryły.
Podniosłe serce, co nie znasz spokoju,
Bijąc o kraty nieczułe, aż w boju
Ulegniesz płonny z złamaniami pióry,
Które cię rwały nad ten świat ponury,
Aż z ranionego popłynie ci łona
W gniazdo macosze krew nieokupiona —
Próżno mi płakać, raczej w twej obronie
Krwi sobie gorzkiej z rozkoszą uronię.

Serafie z nieba, ponadmiar szlachetny!
Ty pod kształtami kobiecej, prześwietnej
Chowasz piękności wszystkiej duszy dzielność,
Jej blask, i miłość, i jej nieśmiertelność.
Błogosławieństwo po kłatwie wieczystej!
Światło, co wszechświat opromieniasz mglisty!

Gwiazdo wśród burzy! Miesiącu w obłoku!
 Jedyne życie śród śmierci! Uroku!
 Cudzie i dreszczu! Harmonjo przyrody!
 Jasne zwierciadło, w którym wszystkie płody,
 Gdy na nie spojrzysz promienną źrenicą,
 Widzą znów siebie i jak w słońcu świecą!
 Wszak nawet pieśń ta, co cię smutkiem darzy,
 Snać się płomieniem błyskawicznym żarzy!
 O, zmyjże ślady ziemskich wad i kału
 Z tego żaloby pełnego hejnału,
 Zmyj lżą błękitną, co ci świętą rosą
 Płynie ze źrenic, podobnych niebiosom;
 Płacz, aż ta boleść w zachwyt się przemieni,
 A ten uśmiechem zbaw od śmierci cieni!

Nigdy nie myślał, że mój sen młodzieńczy
 W taki się skutek, nim umrę, uwieńczy:
 Ja ciebie kocham, choć szyderstwo świata,
 Emiljo, z hańbą tę miłość pobrata!
 Przecz my z jednego nie wyszliśmy ciała?
 I przecz to imię, które innej dała
 Ta moja dusza, zmienić się nie może
 W węzeł siostrzany, ażeby dwa boże
 Promienie jednej wieczności na zawsze
 Złączyć ze sobą! Życie coraz krwawsze:
 Gdy jedno prawem złączone dziś ze mną,
 A drugie prawdy potęgą wzajemną,
 Oba, choć są mi taką właścią drogą,
 Jak jestem twoim, wyrazić nie mogą!
 O biada, biada! Niech cię ból mój wzruszy:
 Jam nie jest twoim — jam cząstką twej duszy!

* * *

Rozkoszna świeco! Gdyby nie spaliła
 Motyli skrzydeł mej muzy twa siła,

Wówczas, jak labędź, co nad lany świata
 W godzinie śmierci śpiewający wzłata,
 Młodaby miłość wpisała do księgi
 Starczego czasu urok twej potęgi...
 Nie natoż duch twój zeszedł na te niwy,
 By uszczęśliwiał i sam był szczęśliwy?
 Zaliś nie wolna od fałszu? Azali
 Nie jesteś naksztalt tajemniczej fali,
 Która melodją błękitnych rozkoszy
 Wszelki dysonans, wszelki pomrok płoszy?
 Zaliś nie gwiazdą, co w ruchomych gronie
 Gwiazd sama jedna nieruchomo płonie?
 Zali nie jesteś łagodnym uśmiechem
 Między gniewnemi; dźwięcznych tonów echem
 Śród głosów szorstkich; światłością; zbawieniem;
 Szczęściem; samotnią; gęślą, słodkiem brzmieniem
 Do snu tulącą w strasznych dniach żywota
 Ponure troski ludzi, których złota
 Miłość uczyła grać na strunie twojej?
 Zali nie jesteś gniazdem, gdzie się roi
 Bezskrzydłych jeszcze myśli tłum młodzieńczy;
 Mogiła bólu, którą kwiecie wieńczy?
 Śród świata zjawisk gonilem za jasną,
 Jak ty, postacią, i mam — słabość własną!

Obca, śród życia spotkawszy mnie drogi,
 Wnet w uścisk śmierci zwabiła przebłogi:
 Tak do spokoju, światła i żywota
 Dzień noc prowadzi, zimę wiosna złota,
 Troskę nadzieja. Antylopa, w pędzie
 Sunąca lekkim ponad skał krawędzie,
 Nie jest tak lotna. Przez tkankę jej ciała
 Blask się boskości przebijają i pała;
 Tak przez wilgotne obłoki na niebie

Cichem, czerwcowem, naokoło siebie
 Mając gwiazd krocie, srebrny krąg księżycy
 Swoją niezgasłą pięknnością zachwyca.
 By z hiacyncu wonnego kielicha,
 Z ust jej poszeptów płynie rosa cicha,
 Upaja zmysły, jak przesłodkie pieśnie
 Tych arf sferycznych, posłyszanych we śnie.
 Skrami promieni płoną jej źrenice,
 Odbiciem blasków, które błyskawice
 Jej duszy w głębiach zbyt wielkich zawarły,
 Bo do niej myśli i zmysły dotarły.
 Wypływająca stąd jej światłość boża
 Napęlnia zimne i martwe przestworza
 Jaśnią i ruchem, które młodość płodzi
 Śród wszechobecnej wrzających fal powodzi;
 Żar ich się zlewa z krwią, co w białej twarzy
 I w końcach palców tak dziwnie się żarzy,
 Jak w śnieżnych chmurkach rozświty poranne,
 I prądy ciepła tworzy bezustanne,
 Pokąd nie zamrze, a z nią cud uroczy,
 Co świat przenika, wypełnia, jednoczy
 Taką pięknnością, że aż ślepną oczy...
 Z luźnych jej włosów i rozwianej szaty
 Słodka woń płynie, zapach przebogaty,
 Którym się powiew upaja, gdy ona
 Lekką mknie stopą, jakby uskrzydłona.
 I w serce płyną te gorące wonie,
 Jak ciepła rosa, co w pękówki łonie
 Roztopia lody... Patrz! Śmiertelne ciało,
 Ale się w miłość i życie przybrało,
 W światło i boskość, i ruch, co się zmienia,
 Lecz nie umiera! To obraz promienia
 Samej wieczności! To cień snów złocistych!
 Blask, co zostawia, precz od dróg gwiazdzistych,

Swą trzecią sferę; odbicie miesiąca
 Wiecznej miłości, co falą swą trąca
 O fale życia! To obraz radosny
 Świtu, młodości i rozkwitłej wiosny —
 Wcielenie kwietnia, co, wonny i miły,
 Placzem i śmiechem do lata mogiły
 Wabi kościotrup zimy...

Biada! Biada!

Do jakich lotów duch się mój układa!
 Jak zejść, a nie paść? Miłość wszystko czyni
 Równem... Radosną tę prawdę w świątyni
 Mojego serca własnego słyszałem.
 Ta miłość sprawia i z robactwem małym,
 Co pełza trawą porosłym rozłogiem,
 Że się w kochaniu i czci łączy z Bogiem...

Oblubienico! Siostró i aniele!
 Gwiazdo mej doli, co się w mrokach ściele!
 Za późnom kochał, za wnet wielbił ciebie!
 Czemuż na błoniach nieśmiertelnych — w niebie,
 W obliczu Boga, wśród Jego kościoła,
 Duch mój przed tobą nie pochylił czoła
 Od pierwszej chwili? Lub czemu na ziemi
 Nie szedł twym cieniem, w ślady za twojemi
 Kroki, od miejsc tych zdaleka, zdaleka?!
 Dziś — ja cię kocham i czuję, jak rzeka
 Mojego serca pieczęcią zamknięta,
 Aby jej fala przejaska i święta
 Została tobie, której lez tych zdroje
 Rozkosz sprawiają. A my, my oboje,
 Czyż nie jesteśmy, jak muzyczne znaki,
 Różne, a przecież tworzące jednaki
 Dźwięk, nieskłócony zgrzytem — dźwięk, co dzwoni

Nutą tak czystą, że w jego harmonji
Drżą wszystkie duchy, jak liście na drzewie,
Drżące na wiatru przeciągłym powiewie.

Twa mądrość we mnie — i nie dbam o skały,
O które mężne serca się łamały.

Jam się przenigdy nie zgadzał z tym tłumem,
Którego dzisiaj wszystkim jest rozumem
Wybrać źródł ludzi kochankę lub druha,
Innych, choć pięknych i wielkiego ducha,
Stracić w pomroki zimnej niepamięci.

Takie to prawo moralność dziś święci
I to jest droga ubita, po której
Kroczą strudzonych niewolników chóry,
Utartym życia zbliżając się torem,
Gdzie śmierć ich wita nad grobu otworem...
I tak to człowiek, łańcuchem przykuty
Do przyjaciela, co może zatruć
W sercu, co może złym się równa wrogom,
Stąpa tą pustą, nieskończoną drogą.

Miłość w tem różna od prochu i złota,
Że, choć dzielona, nie traci żywota;
Miłość, jak rozum, co potężniej błyska,
Zapatrzon w prawdę; do twego ogniska,
O wyobraźni, podobna, co swemi
Przewspaniałemi światły, zrodzonemi
Z niebios i nizin, i z głębin, gdzie wrząca
Myśl ludzka działa, ni blaskiem z tysiąca
Pryzm i zwierciadeł świat zalewa cały
I błąd zabija odbiciem swej strzały.
Ciasne to serce, co jedno miłuje,
Ciasny ten umysł, co jedną myśl snuje,
I duch ten ciasny, co kształt jeden tworzy;
On wieczność swoją sam do grobu złoży.

Od cielesnego duch się różni bytu,
Jak zło od dobra, rozkwit od przekwitu;
Jak to, co pelza, od tego, co kroczy;
Jak to, co brudne i wnet w grób się stoczy,
Od rzeczy jasnej, co ma żyć na wieki.
Dziel brud i boleść, a wnet niedaleki
Będiesz ich końca — zanik ich widomy;
Myśl, rozkosz, miłość dziel choć na atomy,
Wnet każda cząstka wyrośnie nad całość;
A gdy choć nikła pozostanie małość,
Snać niepodzielna, nikt z nas nie policzy,
Ile się zbędzie trosk, ile zdobyczy
Zyska rozkosznej. Z tej prawdy źródłiska
Jasna nadzieja dla mędrców wytryska;
Wieczne to prawo, życia probierz wzniosły
Dla synów ziemi, chwastami zarosłej,
Którzy tak długo pielą jej zagony,
Aż owoc w słońcu zdobędą sploniony.

* * *

Była istota, którą duch mój, z kaźni
Ciała wyzwolon, w lotach wyobraźni
Często spotykał na łąkach młodości,
Śród wysp słonecznych, gdzie ruszałek gości
Tłum rozigrany, śród polan i lasów,
Gdzie złote blaski używają wczasów,
Śród gór uroczych, śród jaskiń, gdzie fala
Widm i snów boskich w czar się rozkryształ,
Gdzie dziwnych marzeń błyszczą piana drżąca,
O którą ona lekką stopą trąca;
Śród sypkich żwirów wyśnionych wybrzeży,
Gdzie rumowisko skał posepnych leży,
Szła razem ze mną, strojna w płaszcz tak złoty,
Żem patrzeć nie mógł. A głos tej istoty

Przypływał ku mnie samotną ustronią
 Ze szmerem źródlisk, z szumem drzew i z wonią
 Kwiatów, co o niej tchnieniem dziwnej siły
 Zakochanemu powietrzu mówiły,
 Niby te wargi, co już śpią, a jeszcze
 Słodkich całunków wspominają dreszcze;
 Z cichym powiewem i z hukiem wichury,
 Z rosą i deszczem, z dźwiękiem przelotnej chmury,
 Z letniem ptaszyny rozśpiewanej pieniem,
 Z wszystkimi tony i z wszystkim milczeniem.
 Głos jej brzmiał w słowach wzniosłych opowieści
 I w dawnych pieśniach, w ich formie i treści,
 W dźwięku i barwie, w wszystkim, co zwycięża
 Tę nawalnicę, której by ořeża,
 Używa słaba dłoń teraźniejszości,
 By zdusić przeszłość; w najlepszej mądrości,
 Tej, co nam życie, to bezdno piekielne,
 Zmienia odrazu w przeznaczenie dzielne,
 Szczytne, jak obraz męczeństw płomienisty —
 Duch jej to zespół prawdy wiekuistej...
 Potem, wybiegłszy z snów młodzieńczych groty,
 Jak gdyby płomień oskrzydlił mnie złoty,
 Mknąłem, gdzie lśniła gwiazda mej tęsknicy.
 Byłem podobien do ómy-wieczornicy,
 Co, błądząc w mrokach, niby liść się tuli
 Do tej gasnącej Hesperowej kuli
 I u niej szuka płomiennej mogiły,
 Jakby te blaski ziemskim światłem lśniły.
 Lecz na łzy moje i modlitwy głucha,
 Ona, z szybkością tego Boga-ducha,
 Tron mającego wspaniały i złoty
 Na uskrzydłonej gwieździe, co mu loty
 Jeszcze uskrzydła dziesięćkrotnie, ginie
 W stożkowej cieni tego życia... Ninie,

Choćby, jak morze potworne, otchłaniał
 Grób ział nieznaną, byłbym poszedł za nią.
 Wtem głos się ozwał: „O serce w żalobie!
 Nie szukaj mary — ta mara przy tobie!“
 Gdzie? — ja się pytam: I „gdzie“ odpowiada
 Echo wszechświata, i rozpacz mnie blada
 Zdjęła w tej ciszy; me usta pytały
 Tych wszystkich wiatrów, co w milczeniu wiały
 Wokół przybytku mych strasznych katuszy:
 „Czy wy nie wiecie, gdzie dusza mej duszy?“
 Szeptalem prośby, słowa zaklęć, które
 Zwalczają losów tyrany ponure,
 Ale modlitwy i czary daremnie
 Z warg moich płyną: nie zwrócą jej ciemnie!
 Z tego chaosu świata już nie stworzę,
 W którym władnęło to zjawisko boże,
 Świata, gdzie przed nią każda myśl ma kłęka.
 I przetom poszedł — za mną strachu męka,
 Wszystkie pragnienia i wszystkie nadzieje
 Marły w tej drodze — i krok się mój chwieje;
 Tchem oczekiwań karmiąc się jedynie,
 Szedłem, gdzie życia zimowe pustynie,
 Wszcząłem bój z fałszem — lecz bój ten był próżny...
 I, umęczony, śpieszący podróżny,
 Ślepnię w tym zgiełku nowych form, co staje
 Co krok przede mną. W dzikie idę gaje,
 Chcąc znaleźć postać, coby równą była
 Tej, w której ona przede mną się skryła.
 Tam jedna — głos jej to pieśń jadowita —
 Siadła nad brzegiem ruczaju, okryta
 Błękitną tkanką, którą zmroki sprzędły.
 Zdradziecki oddech jej ust — to kwiat zwiędły;
 Jej uścisk dłoń ma, by trucizną, parzy,
 Wnętrze żre ogień z ocz jej, a z jej twarzy

I piersi wrzącej zabójczy zawiewa
 Oddech i w głąb się mojej duszy wlewa,
 W mojego serca komórkę zieloną;
 Na jego liściach zawisa, aż spleoną,
 Aże się zwarzą, grzebiąc w swej ruinie
 Rozkwit, co, zanim zdołał przyjść, już ginie.

W niejednym kształcie ziemskim ja, zapachu
 Pelen, swojemu szukał ideału.
 Znalazłem piękne — ale wdzięki płonne,
 Znalazłem mądre — lecz ich słowa wonne
 Były nieszczerze. Ach, i wierną jednę —
 Czemuz nie dla mnie?... Jak to zwierzę biedne,
 Ścigane psami, umknąć już nie może,
 Ku własnych myśli zwróciłem się sforze.
 Broniąc się, ranny i zmęczony, padłem.
 I dzień lodowy patrzył na mnie zbladłem
 Litości okiem, żem tak legł boleśnie.
 Wtem, jak blask świtu, zabłysło mi wcześniej
 Oswobodzenie. Przede mną promienny
 Stał duch, podobien do mary mej sennej
 Tak, jak podobne jest lice miesiąca
 Zmienne do twarzy wieczystego słońca;
 Stał, niby miesiąc dziewiczy i świeży,
 Co na niebieskich wypach berło dzierży,
 Co swym uśmiechem wszędzie rozkosz budzi;
 Stał, błędny ognik, który blaskiem łudzi
 Cichym a zimnym; co, zmienny, zostaje
 Wieczyście sobą, co ciepła nie daje,
 A tylko świeci. Uroczą i młodą,
 By duch, co spłynął z niebieskiego groda,
 Tak mnie osłania, jako księżyc jasny
 Tę noc osłania od jej mroczny własnej.
 Aż między niebem a ziemską mogiłą

W mej cichej duszy wszystko jasnym było.
 I, jako oblok, którym wichur miota,
 Wnet mnie uniosła tam, gdzie dzika grota;
 Usiadła przy mnie z pochyloną twarzą,
 A jej promienie wnet mój sen rozżarzą,
 Jak księżyc, który to wzrasta, to kona,
 Na uśpionego patrząc Endymjona.
 A gdy ma dusza i me kości spały,
 Duch mój to jaśniał, to gasł znowu cały,
 Jak księżyc, wpatrzon w letnie jezior tonie,
 Gdy toń się śmieje lub gdy marszczy skronie.
 I tak na łożu tem zimnem — o dziwy! —
 Ani umarły leżałem, ni żywy,
 Gdyż głos jej srebrny przywołał ich dwoje —
 I śmierć i życie, co, stare swe boje
 Snać zapomniawszy, jak dziatwa, zrodzona
 Z jednego matki opuszczonej łona,
 Bez oskrzydłonej sunęły odzieży,
 Wołając: „Precz z nim! Nie do nas należy!“
 Ach, jam lzy ronił i, choć sen to, ronię.

A jakie burze rozpieniły tonie
 Snów mych i księżyc gasiły, co, błądy,
 W rannych już mrokach gubił swoje ślady;
 Jak moja dusza zmieniła się w morze
 Ciemne i po niej kto wichurą porze,
 Kiedy zagaśła ta, co gwiazdą lśniła
 Mojemu życiu; jaka mroźna siła
 Tak się skradała ponad temi wody,
 Aż się w śmiertelne pościnały lody,
 Te rozpienione fale mojej duszy;
 Wśród jakich wstrząśnień i jakich katuszy
 Rozwarła ziemia swą paszczę bezdenną,
 Gdy księżyc twarzą uśmiechał się senną



Słowa te milczą! Każde łez-by rzeką
Było... Nade mną niech ci łzy nie cieką!

W puszczy mi obraz objawił się przecie,
Szukany w hańbie i smutku po świecie;
Kiedy się zbliżył, na łany cierniowe
Splynęła światłość, jak skry porankowe;
A jego widok wiał znów żywot jary
W tę mroczną ziemię i zmarłe konary;
Dołem i górą, gdzie ślad jego drogi,
Ściele i zwiesza się tłum kwiatów błogi,
Jako miłości myśli kielkującej.
Z jego oddechu, ni promień gorący,
Płynie melodia — wszystkie inne dźwięki
Przeniknął dźwięk ten uroczy i miękki,
Że wszystkie wichry zamilkły wokoło.
Z włosów, co wieńcem oplotły mu czoło,
Woń płynie świeża, topiąc mroźne lody
W zimnem powietrzu... Przedziwnej urody,
Jak obraz słońca wcielony, gdy złote
Zmienia się światło w miłosną tęsknotę,
Duch ten chwalebny, przyplłynawszy w grocie,
Gdziem leżał uspijon, wezwie mego ducha:
I sennych członków moich siła krucha
Powstanie z miejsca, wzniesie się nad ziemię,
Ruszona mocą, co pod niemi drzemie —
Tak ogień rusza blade dymu smugi...
Wraz w jego blaskach stanąłem, i długi
Zmrok nocy pierzchał przed tem światłem życia...
Czułem, że obraz to wyszedł z ukrycia,
Ach, do którego nie mogłem się dostać
Lata — że twoją, Emiljo, ta postać!

Ponad tym światem miłości, tą jaźnią,
Tą ziemią, światel dwóch bliźnią przyjaźnią

Złączonych, władza zlocista migoce,
Rozwija kwiaty, rozbudza owoce,
W jej serce oszczep magnetyczny wciska,
Unosi wody i białe mgławiska;
Wicher do chmury, falę do kotliny
Prawem wieczystej zawodzi przyczyny,
Burze śród skalnej usypia mogiły,
Przedtem kolebki ich rozżartej siły;
Pulk deszczu, lśniący w barwnych piórach tęczy,
Przywabia w namiot, przewiewny, pajęczy,
Jak te dwie ślubne gwiazdy, które z wieży
Niebios swe blaski ślą, gdzie ziemia leży
I, nad ruchomą polyskując kulą,
W blask i błękitny sen jej kształty tułą
I, swoje władze złączyszwy promienne,
Wieczyście jedne, choć wiecznie odmienne,
Dążą, gdzie cel ich czeka wspólny, złoty —
Tak też władajcie kulą mej istoty,
O jasne gwiazdy, przez dnie i przez noce
Rozpościerając nad nią swoje moce!...
Ty, co nie gardzisz siłą pożyczoną,
O ty, co światel, które wdali płoną,
Wzdyć nie zaciemniasz, wiedźcie mnie wśród cieni
Trzech pór, od wiosny do późnej jesieni,
W zimy grobową wiedźcie mnie głębinę,
Aż się tam w kwiecie bogatsze rozwinę!
I ty, kometo, co do swego środka
Przyciągasz serce mego świata (zwojka
Jest jego siła), aż to serce moje,
Zmienne przyciągań i odpychań boje
Prowadząc z tobą, pęknie zwyciężone,
Twe serce pchnawszy gdzieś w zabłądzeń stronę —
Niech blask twój znowu na niebie zagości!
Wróciwszy, stań się znów gwiazdą miłości!

Z czaszy ognistych żarów żywe słońce
 Karmić cię będzie; księżyc rogu końce
 Utopi w twoim pogodnym uśmiechu,
 Uczci cię wonią cichego oddechu,
 Światłem i cieniem, wieczoru i świtu
 Chwilą złocistą; tak w świątyni bytu
 Dwie siostry: bojaźń i nadzieja błoga
 Czczą gwiazdę śmierci i narodzin; mnoga
 I boska płynie im z serca obiata;
 Moja ofiara to ofiara świata!

Nie gardź tem kwieciami mych myśli, co ginie
 Pędkiem. Wszak w serca serdecznej głębinie
 Kwiat ten wyrasta i w owoc dojrzewa
 W słońcu twych oczu, jak ów owoc z drzewa,
 Które wyrosło pośród rajskiej niwy.

O, uchodź ze mną, nadszedł czas szczęśliwy!

Siostrą-westalką bądź temu, co we mnie
 Śmiertelność w swoje otuliła ciemnie;
 Z tem, co nie we mnie, lecz jest mną, rumieńcem
 Płonąc wieczystym, ty się złącz pierścieniem
 Oblubienicy, która szczęściem darzy
 I jest szczęśliwą... Oto już się żarzy
 Gwiazda przeznaczeń, wznosząc się do góry
 Nad pustą kaźnią. Wysokie jej mury,
 Przeliczne stráže i silne bronice;
 Lecz miłość nie zna hamulców. Granice
 Wszystkie przekracza, jak błyskawic wstęga,
 Co niewidzialna w środek ziemi sięga;
 Jak wiatr swobodny, którego nikt w kleszcze
 Zadne nie ujmie; podobniejsza jeszcze
 Do owej śmierci, co, na skrzydłach myśli

Lecąca naprzód, drogę swoją kreśli
 Poprzez kościoły, pałace, więzienia
 I wojsk szeregi. Miłość, od jej tchnienia
 Nawet silniejsza, ciało jej rozprzega;
 Członki uwalnia miłości potęga
 Z więzów i serce z boleści wyzwala,
 Duszę z chaosu.

Cicha wiatru fala

Oblewa skały nadbrzeżne; w przystani
 Stoi już okręt; wśród morza, o pani,
 Jest droga, barką nietkniętą niczyją,
 Wokół wysp nagich mewy gniazda wiją;
 Tu zdrań zapomniał ocean zdradliwy;
 Tłum marynarzy wolny i szczęśliwy.
 Mów, siostró serca mojego, czy ze mną
 Zechcesz popłynąć tą drogą zaziemną?
 Oto łódź nasza, jak albatros, który
 Gnieździ się wdali wśród wschodu purpury;
 My pod jej skrzydła skryjem się rozwiane,
 A ponad nami burze rozpasane
 I błoga cisza, dzień i noc popłyną —
 Tajemne sługi — niezmierną głębiną,
 Tu, gdzie sklepienie nieb iońskich płonie,
 Wyspa, jak odłam raj, w falach tonie;
 A że tu przystań nie była bezpieczna,
 Z wyspy tej puszcza została by wieczna,
 Gdyby nie wyrósł tutaj lud pasterzy,
 Niewinny, prosty, odważny i świeży,
 Owiany jeszcze owem rajskim tchnieniem,
 Które spłynęło złocistym strumieniem
 Z wieku złotego. Tu egejskie wody,
 Rozbłękitnionej przepelne urody,
 Zmienne przystań otaczają pasy

BIBLIOTEKA GIMNAZJUM
 Zygmunta Augusta
 Polka
 Dział

Piany i dźwięków, blasków zmiennej krasy,
 I sypki piasek, i jamy jaskinne
 Pocałunkami zlewają. Tu zwinne
 Wiatry, wiejące wzdłuż morskiego brzegu,
 Falują głębie w swym falistym biegu;
 Tu bóstwa lasów swoje kształty kryją;
 Tutaj się rzeki i strumyki wiją
 Rozbłękitnione, jako diamenty,
 Lub, jak poranek, chmurami nietknięty.
 Ścieżki się gubią wśród gęstwinnej łozy;
 Sarny tu skaczą i zdziczałe kozy —
 Pasterz, do roku ledwie raz zachodzi —;
 Pełno tu polan, altan, grot i hał, w powodzi
 Bluszczu tonących, na które przejryste
 Zlewają krople wodospady szkliste,
 A z ich szelestem, gdy te krople sączą,
 W południa pieśni słowików się łączą.
 Urocza ustronń zapachami dysze,
 A morze światła, które się kołysze
 Ponad tą wyspą, nad zieleni tonią,
 Drzew cytrynowych upaja się wonią
 I, niewidzialne, niby mgła ta blada,
 Lepki snu ciężar na powieki składa;
 Fiołek, narcyz z pod mchów i z pod ziela
 Strzałą zapachów do mózgu ci strzela,
 Że aż umierasz z tej rozkosznej rany.
 Tu każdy odruch, woń, blask, dźwięk rozgrany
 Zdają się w jedno z tą nutą złączone,
 Która jest duszą wśród duszy — drżą one,
 Jak snów przedwiecznych echa oddalone.
 Pomiedzy niebem, powietrzem i ziemią,
 I między morzem kształty wyspy zmienia;
 Jak wschód, gdy świeżych powiewów go fala
 Muska, tej wyspy blask się rozkrystalizowała.

Tu miejsce święte, tu przystań spokojna;
 Trzęsienia ziemi, głód, dzuma i wojna
 Mijają szczyty tych gór, mkną nad niemi,
 Jak sępy ślepe drogi przekłętymi.
 Skrzydlate burze, które w hymn straszliwy
 Ponad innemi rozgrzmiewają niwy,
 Topią tę wyspę w lazurów spokoju,
 Lub rozplakują się w lzy tego zdroju,
 Z którego napój czerpią lan i lasy
 Dla swej zielonej, nieśmiertelnej krasy.
 Z wód się podnoszą, opadają z góry
 Jasnych wyziewów leciuteńkie chmury,
 A każda chowa w sobie czar rozkoszy;
 A gdy te mgławce osłonki rozproszy
 Zefir, lub słońce, lub promień księżycy,
 Wtedy ta wyspa, jak naga dziewica,
 Płonąca ogniem wdzięku i miłości,
 Drży, zawstydzona nadmiarem piękności.
 Lecz jako światło w głębi kopalni, w łonie
 Rozkosznej wyspy dusza żarem płonie,
 Atom wieczności, i swój uśmiech zlewa
 Na szare skały, na zielone drzewa,
 Na głębie fali, co się w czar rozwehnia —
 I tak nim puste przestrzenie wypełnia.

Lecz, by cud świata, w tej pustynnej stronie
 Gmach jakiś w cichej samotności tonie.
 Nikt z prostych wyspy mieszkańców nie pomny,
 Kto go zbudował i kiedy. Ogromny,
 Że szczytem sterczy ponad czołem lasów;
 Nie był on twierdzą. Za prastarych czasów,
 Gdy świat skrasiała pierwszych wiosen zorza,
 Wzniósł jakiś mądry i czuły król morza
 Ten gmach rozkoszy, dawnych wieków dziwo,

I w nim swą siostrę uczynił szczęśliwą
 I swą kochankę. Snać nie ludzka siła,
 Lecz dłoń tytanów gmach ten postawiła;
 Oto się zdaje, jakby z łona ziemi
 Gmach ten wystrzelił kształtami swojemi;
 Jakgdyby wyrósł ze skalnej opoki,
 Tworząc rząd jaskiń świetlany, wysoki;
 Albowiem sztuki prastarej roboty
 Na proch skruszały; przelicznymi sploty
 Bluszcz na ich miejscu wiję się, i wina
 Dzikiego gałąź do góry się wspina.
 Ciemnice hal tych opromienia rosa,
 Lśniąca brylantem na bluszczach; niebiosą,
 Gdy kwiaty zwiędną, przez ich tkanę zarzą
 Gwiazd się iskrami lub księżycą twarzą;
 Lub dzień tu ryje, wstając w zórz purpurze,
 Kwiatów mozaikę w paryjskim marmurze.
 Dzień i noc tutaj, gdy spojrzymy z wieży,
 W uściskach z morzem ta ziemia śnać leży.
 I tak oboje śnać marzą bez końca
 O falach, kwiatkach, złotych chmurkach słońca;
 O tem, co drga tak w ich uśmiechu czystym,
 A co my światem zwiemy rzeczywistym.

Moje ta wyspa i ten gmach, ty panią
 Będiesz nad pustą, rozkoszną przystanią!
 Tu ja dla ciebie komnaty roztworzę,
 W złocistą wschodu zapatrzone zorzę,
 Pieszczone wiatrem, co po mórz głębinnie,
 Sam jako fala, wśród fal drży i płynie.
 Nut ci dostarczę i ksiąg nagromadzę —
 Wszystkich narzędzi, które duchom władzę
 Dają podniosłym, ażeby zbudziły
 Przyszłość z kolebki, a przeszłość z mogiły,

Aby na wieki to dziś do łańcucha
 Szczęścia przykuły i do ogniw ducha,
 Co mogą drzemać, lecz wieczyście żyją,
 Albowiem w sobie swoją wieczność kryją.
 Prosty nasz żywot wymaga niewiele,
 I smak nasz zdrowy tu się nie podściele
 Pod stopy zbytku, co ten świat pustoszy,
 Pragnąc go zdobić. Tu w cichej rozkoszy
 Z swemi się dziećmi natura rozgości;
 Tu się wśród bluszczów żali swej miłości
 Grzywacz; tu sowa okraża wieżycę,
 Tonącą w cieniu wieczornym; źrenice
 Gwiazd nieskażonych tu błyszczą i płoną
 Tańczącym w zmroku nietoperzy gronom;
 Tutaj nam sarna w promykach miesiąca
 Igra przed bramą; tutaj noc milcząca
 Miarą snów cichych mierzy wolne kroki.
 Tu nasza przystań! A gdy lat potoki
 Zwiędłych nas gędzin w późny czas przekwitują
 Zasypią liściem, bądźmy dniem, błękitu
 Rozpinającym namioty na niebie,
 Duszą w tym raju, świadomymi siebie —
 I nierozdzielni, i jedni. Oboje
 Tymczasem będziemy kroczyli, gdzie zdroje
 Błyszczą pod niebem iońskim; tu sami
 Brnąć będziemy w trawie i piąć się po mchami
 Porosłych górach, gdzie w tchnieniu przecichem
 Strop wargi swoje łączy z ust kielichem
 Ziemi-kochanki; potem u wybrzeży
 Spoczniem krzemiennych, w których czerstwy, świeży
 Całunek morza takie budzi życie,
 Że drżą i skrzą się, jakgdyby w zachwycie.
 Tu władać będziemy, owdądnięci razem
 Bujnym przecichej rozkoszy obrazem,

Złączeni z sobą i oddani sobie,
 Aż życie w miłość się zmieni. A w dobie
 Południa w szarej skryjemy się grocie,
 Która śnać jeszcze w księżycowem złocie
 Wczorajszej nocy się kapie — do słońca
 Tu nie dociera żrenica gorąca —
 W grocie, co nocy nas zmrokiem otoczy,
 Tu sen niech zmoże niewinne ci oczy,
 Sen — świeża rosa miłości spragnionej,
 Sen — deszcz, co kroplą gasi rozpalony
 Żar pocałunków, aż znowu zapłoną.
 Gwarzyć będziemy, pokąd naszym tonom
 Taka melodia myśli nie wypłynie,
 Że jej nie oddać słowami — co ginie,
 Zamiera w słowie, lecz znów życiem błyska
 W takich spojrzeń, których strzała wciska
 W nieme się serce i w pieśń je nastraja —
 W pieśń choć bez dźwięków... Niech nasz duch się spaja,
 Niech się ze sobą nasza pieśń połączy;
 Usta — wymowa, choć bez słów, z nich sączy —
 Niech przyćmią duszę, co wśród nich się pali;
 Ten oto strumień tajemniczej fali,
 Co z ducha krynic najskrytszych wytryska —
 Z najgłębszych głębin żywota — niech błyska
 Przejrzystej żądzę pozłotą, jak w zorzy
 Górskie potoki... I w jedno się złoży
 To nasze życie; pod dwóch ciał odzieniem —
 Czemu dwóch? — jednym my duchem, pragnieniem
 Będziemy jednym w dwóch sercach, co, zmienne,
 Rosły i rosną, aż jako płomienne
 Dwa meteory, tak długo krążące,
 Aż się zjednoczą, te dwa serca drżące
 Zetkną się z sobą, złączą i przemienią.
 Nie będziemy płonąć, nigdy się płomieniom

Strawić nie dadzą. I w duszy mej własnej
 Znajdziemy pokarm, jak ten płomień jasny
 Zbyt nieskalanych, nazbyt świętych zniczy,
 By karm czerpały ze zwykłej zdobyczy —
 Ogni, co w górę k'niebieskim krainom
 Blaskiem strzelają, lecz nigdy nie giną.
 W dwóch wołach jednym będziemy dążeniem,
 I jedną wołą, otuloną cieniem
 Dwóch dusz, i jednym będziemy żywotem
 I jednym piekłem, jednym niebem złotem,
 Unicestwieniem jednym, o, i jedną
 Nieśmiertelnością!

Jak ma dusza biedną!
 Słowa, na których uleciećby chciała,
 Gdzie swój przybytek miłość zbudowała,
 Są dla jej lotów ciężarem łańcucha —
 Dyszę, upadam, drzę, oddaję ducha!...

Kłękajcie, wiersze, u stóp swej królowej,
 Mówiąc: „My władcy twojego heloty:
 Czego chcesz od nas i tego, co twoje?“
 Zwołajcie siostry swe z zapomnień groty
 I razem z niemi zanućcie: „Miodowy
 Jest ból miłości, choć za ciężkie znoje
 Za grobem czeka nas przybytek złoty“...
 Tam żyć będziecie ze mną... W tej godzinie
 Spieszcicie wskroś ludzkich serc i cniemi słowy
 Kaźcie Primowi, Vannie i Marinie,
 By się kochali i, świat, który ginie
 W szydzie i kłamstwie, porzuciwszy, w gości
 Przybyli do mnie — bom ja gość miłości.



163
16049 A

1